Rozmaitości

Dnia 20. maja **Ner. 20.** 1831 roku.

Nocleg w podróży.

I.

W s t ę p.

Słońce już dawno zaszło było, zmrok coraz bardziéj się powiększał, konie moje, lubo ubiegłszy od świtu mil dziesięć znużone, na rozkaz mój, żywo popędzał woźnica; gdy wyjechawszy z obszérnego lasu, opodal ujrzeliśmy oświecone okna samotnéj karczmy, zdające się gościnnie zapraszać nas do wytchnienia z całodziennéj podróży.

»Czy rozkaże pan tu na nocleg zajechać?» zapytał się mój, od godziny smacznie na koźle drzymiący Jan: »już i późno, i konie się zbiegały . . .» Zajeżdżaj w Imię Boże! odrzekłem, widząc tak ważne powody, lubo w duszy pragnąłbym był całą noc jechać, by jak najprędzéj stanąć u celu, bowiem ośmnaście jeszcze mil miałem przed sobą, a pojutrze były imieniny mojéj . . . . .

»Otwiéraj bramę!» wrzasnął mój człowiek, a za chwilę nizkim pokłonem i zdjęciem jarmułki powitał mię izraelski gospodarz.

Czy dostanę pokoju osobnego? zapytałem, widząc kilka obcych osób w izbie gościnnéj, a pragnąc, jakto zwykle zakochani, raczéj własnémi bawić się marzeniami.

»»Nié ma zadnéj osobnéj stancyi, ale ny! alboż to nie ładna izba?»» odpowié, odchylając drzwi mocniéj. »»A c h w é j m i r! tutaj największe panowie do mnie zajeżdzają. O! i teraz jest tu jeden g r o i s e r p u r e c, co tego k a r y t e m przyjechał»» dodał ciszéj i wskazał mi w istocie piękny kocz wiédeński, najnowszego kształtu: »»a po co byś pan nie miał? . .»» tutaj przestał, i bardzo wymownie spojrzał po mojéj skromnéj podróżnéj bryczce.

Upokorzony tą milczącą uwagą, nie mówiąc i słowa daléj, wszedłem do izby, a skłoniwszy się obcym, w około stołu razem w rozmowie siedzącym gościom, przy drugim stole począłem nakładać lulkę, naprawiać, czyścić, a to wszystko z wolna, a tym czasem bokiem przypatrywałem się przytomnym, mojéj dzisiejszéj nocy przyszłym towarzyszom. Było ich trzech, na przeciw mnie właśnie siedział nie bardzo już wprawdzie młody, ale ile się zdawało za młodego uchodzić chcący, lubo podróżnie, ale z wielką starannością przybrany mężczyzna, i dwóm towarzyszom swoim obszérnie opisywał powaby Paryża, w sposobie płynnym i dowcipnym, mieszając niekiedy obce słowa. Drudzy obaj byli wojskowi, jeden w wieku średnim, mogący być męzką pięknością zwany, z ponurém atoli spojrzeniem, i rysami smutku lub cierpień na wybladłéj twarzy; drugi młody jeszcze, dosyć przystojny i rozsądny, umiał dowcipnie wątek wszczętéj przez wojażera snuć rozmowy, krzyż zasługi zdobił piersi jego; zdawał się atoli daleko w niższém od piérwszego być stopniu, bowiem

)(

z uszanowaniem zawsze mówiąc, majorem go tytułował.

Przystąpiłem z przeproszeniem do stołu, chcąc u świécy zatlić papiér do zapalenia lulki. Grzeczny ukłon ze strón wszystkich powitał mię, a z uprzejmością ozwał się wojażer:

»*Charmant! tres charmant!* nasze towarzystwo się powiększa. Pan zapewne myślisz także nocować w téj karczmie? Wybornie,» mówił daléj, usłyszawszy moje potwierdzenie, »nigdym się nie spodziewał w tak nędznéj karczmie, jakie się, nie na chlubę mówiąc, w naszéj ojczyznie znajdują, tak przyjemnego znaleźć noclegu, jak go dziś mam z powodu towarzystwa wćpanów, (ukłon powszechny). Ależ bo też to smutno podróżować w naszym kraju, a zwłaszcza mnie, który od lat 12 za granicą najprzyjemniéjsze odbywam podróże. Przespać nie ma gdzie, a o jedzeniu ani myśléć — ot dziś naprzykład przez żart spytałem się żydowki, czy jeść co dostanę? (bo trzeba panom wiedziéć, że od chwili wkroczenia w granicę mojéj ojczyzny, mały zapas żywności i napojów nie opuszcza powozu mojego), długo bardzo rozprawiała o rozmaitéj żywności, a wszystko czego tu dostanie, jest ryba z cébulą, i cébula z rybą. *Mais mon Dieu!* dziś jesteśmy *compagnons de douleur*, więc zapraszam panów, byście byli moimi gośćmi, zapas mój wystarczy na nas wszystkich trzech. *Mon cher Jaque! apportez* naszę piwnicę i spiżarnię.» — Jego prawdziwie paryzka płynność rozmowy przerwaną została jakowymś zapytaniem p. kamerdynera, acz dotychczas nie była nas jeszcze znudziła, bowiem jawnie ku naszej dążyła korzyści.

I w istocie skorzystaliśmy przy tém, gdyż w krótce zgrabny p. Jaque nadniósł walizę wiktuałów i duże puzdro napojów. Jak można było najlepiéj stół urządzono, jedliśmy przy wesołéj pogadance na dań kilka, lubo w porządku nie zupełnie zgadzały się z zasadami sztuki kucharskiéj, a wychyliwszy parę butelek reńskiego wina, i mając humor nader wesoły, zwolna zabieraliśmy się do spoczynku. Wino skutkowało i na posępnym humorze majora, dosyć był rozmownym, a tylko o jednym przedmiocie nie chętnie rozmawiał . . . . o kobietach.

Służalcy nasi już popurządzali byli pościele, tak, iż cztery łóżka nasze prawie czworokąt kształciły, a tak pokładłszy się, mogliśmy przed uśnieniem jeszcze bawić się rozmową, do czego wszyscy zdawaliśmy się usposobionymi. Ja zawsze jednym zajęty, począłem rozbiérać się zwolna, a między innémi zdjąłem z szyi minijaturę méj ulubionéj, i jako rzecz najdroższą, wraz z pieniędzmi, chciałem włożyć pod poduszkę — spojrzałem na nię — i westchnąłem, bo jeszcze mil tyle nas rozdzielało, a pojutrze . . .

To pomyślawszy, rzuciłem tymczasowo pulares i minijaturę na łóżko, i wybiegłem ostrzédz mego woźnicę, by raniuteńko nakarmił i napoił konie, a mnie zbudzić rozkazał. Dawszy to zlecenie spojrzałem na dwór. Księżyc właśnie był zeszedł, gwiazdy jak oczka kochanki mrugały z niebios lazuru. Do zakochanych noc i milczenie silnie przemawia! wyszedłem w myślach kilkadziesiąt kroków przed karczmę, a wracając, gdy spojrzę w oświecone okna naszéj sypialni, ujrzę wojażera i porucznika zatopionych w rozmowie w głębi, zaś tuż koło okna, przy łóżku mojém majora, który trzymając w ręku minijaturę ubóstwianéj, wpatruje się w nię ciekawie a nareście (może mi się zdaje) boleśnie, i szydersko uśmiechać się poczyna. Rozciekawiło mię to postrzeżenie — wracam wolnym krokiem do pokoju, aliści jeszcze w ręku trzyma minijaturę major.

»Wyobrażenie to, jest zapewne drogiéj wćpanu osoby?» rzecze, widząc mię powracającego. Cóż jest miléj dla zakochanego, jak miéć sposobność mówienia o przedmiocie swych uczuć.

Ach drogiéj nad wszystko na świecie, mci majorze! Ona tylko szczęście me ustalić może, gdybyś wćpan wiedział (wino stopniowało czułość) z jakiém upragnieniem teraz pospieszam, by ją tylko obaczyć — a nieszczęście! 18 mil jeszcze, a pojutrze jéj imieniny ... odrzekłem; gdybyś wćpan dobrodziéj mógł ją widzieć, przyznałbyś, iż jakkolwiek urocze są jéj

wdzięki — jéj przymioty, jéj dusza, a przy tém jéj . . . .

»Przywiązanie do wćpana nie złomne?« przerwał mi major i tak się rozśmiał, iż prawie urażonym się czułem.

»Nie znasz widzę kobiét mój młody panie, zwodzi cię, łudzi, jeźli dotychczas już o tobie nie zapomniała. Miesiąc jesteś wćp., jak powiadasz, w podróży, o już ona tam u boku innego dobrze śmieje się z wćpana, gdy tymczasem wćpan na złamanie karku lecisz na jéj imieniny — cha, cha, cha; załóż się wćpan, iż za tę czułość jeszcze zle przyjętym zostaniesz wróciwszy.«

Mci majorze, nie wszystkie kobiéty są sobie równe i tak złe, jakie wćpan może tylko poznawać miałeś nieszczęście, Ja sądzę, iż najlepiéj . . .

Skinienie porucznika przerwało moję już dość gniewną mowę. Zbliżył się do mnie i rzekł z cicha: »nie dziw się wćp. i nie unoś się, gdybyś znał dzieje życia tego nieszczęśliwego, zgodziłbyś się z nim niezawodnie, z resztą to tylko dziś wino tak wymownym go uczyniło, innym razem nie mówiłby pewnie o tym z wćpanem.«

Nasz wojażer, człowiek, ile go poznałem dotychczas, ulotnych zasad, ale nader dobrego serca, wielki przyjaciel pogadanki, uradowany, iż znowu znalazł się przedmiot ogólnéj rozmowy, począł rozprawiać, i już bez uniesień każdy swe dawał zdanie. Major utrzymywał, iż kobiéty są fałszywe, ohydne, i że dobrych nié ma wcale. Porucznik, iż i na mężczyznach niewiernych i fałszywych nie zbywa; do téj partyi i ja się przybiłem, lubo mi jednogłośnie zaprzeczono tu głosu, jako stronniczemu, bo zakochanemu.

W tym major, ostygłszy cokolwiek z zapału w popiéraniu zdań swoich, jakby uczuwając, iż mię zmartwił, przybliżył się z boku do mnie. »Nie gniewaj się, wćpan na mnie,« rzecze, »jestem żołniérzem, więc mówię otwarcie, i wierzaj mi młody człowieku, iż z duszy życzę, byś nie trafił mnie podobnie, i swój przedmiot znalazł godnym stałych swych uczuć.«

Począłem mu oświadczać, iż bynajmniéj urażony nie jestem; porucznik i wojażer zbliżyli się do nas, wszyscy uściskaliśmy majora, który zdawał się bardzo być poruszonym.

»Nie miejcie mię za dziwaka,« rzecze nareście, »dziś widzę bardzo rozmowny jestem, odważę się raz jeszcze opowiadaniem ponowić ciérpienia moje, a pewnie me zasady usprawiedliwionémi znajdziecie.

Pokładliśmy się rozciekawieni, a pozapalawszy lulki, i zaopatrzywszy się w porządne szklenice herbaty, któréj dostarczył nam zasób grzecznego wojażera, słuchaliśmy, nie przerywając, powieści majora.

II.
Kordon zdrowia.

Nikt serca człeka poznać nie zdoła,
Ach! tym bardziéj, serca kobiéty;
Im podobniéjsza twarz do anioła,
Tym piekielniéjsze serce niestety!

»Początkito były służby mojéj wojskowéj, nie dawno dopiéro śrebrny felcech przyozdobił rękoiść szpady mojéj, gdy pułk nasz dostał zlecenie udania się na granicę, by utworzyć kordon zdrowia, i ubespieczyć kraj od grassującéj w ościennem państwie zarazy morowéj. Właśnie obchodziłem dnia jednego stanawiska moich podkomendnych, wpajając im w pamięć ostre przepisy prawa wojskowego za przekroczenie kordonu zdrowia; dowiedziałem się od nich, jak często nieszczęśliwi z przeciwnéj strony, usiłują przejść na naszę, a znużony długim chodzeniem, owinąwszy się przed wilgotném zimném dnia jesiennego w burkę, usiadłem na pniaku w poblizkości stanowiska starego i wbitwach posiwiałego żołnierza, który mi był milszym nad wszystkich szeregowych. Nie wiele czasu przeminęło, gdy z zadumania w które wpadłem był poniewolnie, ocknęło mię zawołanie żołnierza:

»Stój! kto idzie?«

Obziéram się i widzę od poblizkiego z za granicy lasu zbliżającą się chwiejącym krokiem postać niewieścią. Na powtórne

)(2

zawołanie żołnierza nic nie odpowiedziała, i już zbliżała się przekroczyć liniją kordonu, gdy żołnierz przyłożył broń, dał ognia, a nieznajoma padła na ziemię. Litość przemogła w téj chwili we mnie nad ostrożnością, pomimo uwag zacnego szeregowca poskoczyłem do nieszczęliwéj, znalazłem ją bez znaku postrzału, ale i bez znaku życia. O gdybym był wtedy posłuchał rady żołnierza! bo cóżto ja ujrzałem w téj chwili? nie śmiejcie się ze mnie, niewidźcie w pochwałach moich przesadzonych słów rozognionego kochanka, ten płomień tysiące już burz zdmuchnęło; a przecież dziś to jeszcze przyznać muszę — była to postać, bardziéj anielska, niż człowiecza, a wrażenie jakie w téj chwili na mojém sercu uczyniła, było źródłem wszelkich potém nieszczęść moich. Poruszyłem ją niepomny niebezpieczeństwa, usiłowałem podnieść, w tym otworzyła oczy, a drząc, zerwała się i rzuciła do nóg moich. Jak jéj postaci tak i głosu tego opisać nie zdołam, jakim poczęła błagać mię o litość. Nie wiém, ktoby w téj chwili nie był uwierzył przysięgom tkliwym jéj głosem wydanych, iż nie czuje w sobie najmniéjszego zarodu zarazy, i że tylko nieszczęśliwa, opuszczona, utraciwszy od moru całą rodzinę, ucieka, by nie paść ofiarą śmierci. Dziesięć dni, mówiła ona, idzie już z miejsca rodzinnego, lekko tylko okryta i bez pożywienia prawie. Nie wiedziała nawet o zakazach przestąpienia granicy, i pragnęła udać się do dalekiéj staréj krewnéj, mieszkającéj w pobliżkiém już naszego kraju miasteczku. Jestto już naturą serca ludzkiego, iż jednem poruszone uczuciem przystępniéjsze jest dla drugich. Byłem poruszony, ulitowany, i mogę śmiało wyznać, iż ta jedna chwila wkorzeniła we mnie miłość ku nieszczęśliwéj. Obejrzałem się z ostrożnością, czy nie ma kogo w pobliżkości, na żołnierza mego spuścić się mogłem, okryłem nieszczęśliwą własną burką, i ostrożnie ścieżkami podprowadziłem na drogę ku miasteczku. Żem ją pokochał, że dla pierwszéj w życiu kobiety serce me podobnie uderzało, poczułem dopiéro w nocy, którą bezsennie strawiłem — a dnia zaraz następującego zluzowany z obowiązku nadzierania stanowisk przez innego oficera, pospieszyłem do wiadomego miasteczka, nie tyle z niespokojności dowiedzenia się o skutkach mego nierozsądnego postępku, ile z niecierpliwości oglądania nieznajoméj.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sokoły.

Między rozrywkami odpowiadającémi duchowi wieków średnich, sokole polowanie bezsprzecznie pierwsze miejsce zajmuje, a im bardziéj w on czas rozszerzoném było, tym bardziéj teraz nad wykorzenieniem onego zdumiewać się musimy.

Skłonność sokoła, jego bystry wzrok, długość skrzydeł, a z tém wszystkiém połączona szybkość lotu, ostrze i siła dziobu, moc kości, zapał i śmiałość, tyle usposabiają go do użytku w polowaniu, ile wrodzona dzikość i obawa ludzi utrudnia oswojenie jego.

Sposoby, którémi sokolnicy wieków średnich ułaskawiali tego drapieżnie pięknego myśliwca, są w rzeczy saméj największéj uwagi godne. Ażeby najprzód usposobić sokoła do nauki, trzeba mu było odjąc wrodzoną dzikość, do czego używano środka dosyć tyrańskiego. Sadzano go zwykle na obręczy, wiszącéj z powały na sznurze, a przeto mogącéj się poruszać. Jeźli sokoł choć cokolwiek okazywał chęci zasypiana, trącono i rozkołysano obręcz, przezco sokoł był w niebezpieczeństwie spadnienia, i nie mógł usnąć, chcąc tego uniknąć. Tym sposobem męczono go przez trzy lub cztéry dni, a myśliwi odmieniali się w czuwaniu, by i chwili nie usnął. Przez ten ciągły tak długi niewczas, wpadał sokoł w rodzaj odurzenia, zapominał dawny stan swój, i zwolna przyzwyczajał się do otaczających go osób i swojéj niewoli, oraz stawał się pojętniéjszym i usposobieńszym do nastąpić mającéj nauki. Głód znowu w téj nauce najznaczniéjszą grał rolę, a sokoł musiał sobie najmniéjszy kęs chleba lub mięsa swém sprawowa-

niem zasługiwać. Nogi jego objęto w skórzane kajdany, a metalowa obrączka w koło tychże nosiła napis, zawierający nazwę i godność właściciela. Wieszano mu dzwonek u szyi, by dosłyszeć, gdzie się znajduje, jeźli za daleko zapędził się na polowaniu, lecz częściej bardzo długi przez myśliwego na końcu trzymany sznur, wzbraniał mu odlecenia zbyt dalekiego. Częste niewczasy coraz bardziéj dzikość jego poskramiać musiały, a jeźli jeszcze niekiedy uporczywym się ukazywał, za karę, głową w zimną wodę go wtrącano. Pierwotnie szczwano go na nieżywe lub wypchane ptaki, a gdy już usposabiał się do tego, na prawdziwe brano go łowy Przytém myśliwy na ręce niósł swego sokoła, który miał zakryte oczy; gdy ukazało się co z ptactwa, odkrywano mu oczy i puszczano go. Sokoł w jednym pędzie dościgał zdobyczy, i w ostrych szponach swoich, niósł ją złożyć u nóg swego pana.

Przywiązanie szlachty wieków średnich do swoich sokołów częstokroć aż do pieszczot dochodziło. Dawano im pochlebne nazwiska, szyje zdobiono kosztownémi obrączkami; codziennie je kąpano, by lśniącém utrzymać ich pierze, a kto skradł sokoła, śmiercią karanym bywał. To zamiłowanie w sokołach w Anglii do tego stopnia doszło, iż ptak ten otrzymał miejsce w herbach, a stopień szlachectwa wedle rodzaju sokoła w herbie osądzano. Nie jeden sokoł kamienny zdobił grobowiec zmarłego pana swojego.

Nowy, niemylny sposób poznawania chorób.

Bardzo ktoś trafnie powiedział, »że lekarze są to uczone dzieci, z któremi natura gra w ślepą babkę.« I w istocie, gdy się zastanowimy nad sztuką lekarską, jako jedną z tych umiejętności, których początek jest równoczesny z bytem człowieka, wyznać musimy, jeżeli nie z zawstydzeniem, tedy z żalem przynajmniej, iż w porównaniu z innémi na zbyt nizkim zostaje stopniu. Jeszcze tam, gdzie zmysły i doświadczenie idą w pomoc rozumowym wnioskom, jak n. p. we wszystkich zewnętrznych chorobach, sztuka ta dobroczynna, wzniosłszy się w postępach swoich do znakomitej doskonałości, niesie prawdziwą ulgę w cierpieniach, odnosząc często najchwalebniéjsze zwycięztwa nad ułomnością ludzkiej natury; ale w słabościach wewnętrznych, pod względem fizycznego życia człowieka nie równie ważniejszych, gdzie nawet same doświadczenia, lubo kilkakrotnie sprawdzane, w wiecznéj odmienności szczegółowych zjawień, okazują się mylnémi, sztuka ta zawsze jeszcze zostaje w kolebce, zależąc więcéj od szczęliwego trafu, niżeli od pewności wniosków najumiejętniéjszego lekarza. Dla tego z prawdziwą wdzięcznością przyjąc byli powinni uczniowie Eskulapa sposób, który Lichtenberg, sławny bystrością umysłu fizyk, matematyk i filozof, podaje nie pewnéj diagnostyce w rozstrzyganiu wątpliwych wypadków. Dziwną jest prawdziwie rzeczą, że naturaliści dawno na tę szczęśliwą myśl nie wpadli. Lecz natura jest niezbadalną, a z jéj dobroczynnych darów, chociaż są znane, nie zawsze udaje się krótko widzącym ludziom należycie korzystać, i pożyteczne robić zastosowanie. Tak między wielu przedmiotami natury, które godne są podziwienia naszego, rzadko jednak w miarę ważności swojéj zajmują naszę uwagę, psie nosy należą do przedmiotów głównych.

Zadziwiającą władzę rozróżnienia, którą posiada nos tego domowego zwiérza, nikt nie znajduje nadzwyczajną, ponieważ jest coś codziennego. Ale coś codziennego czyli zwyczajnego w jedném rozumieniu, może być w drugiém czemś niezwyczajném, i do tego rzędu należy zjawienie, o którém tu mowa. Pies znachodzi chustkę swojego pana, którą ten o tysiąc kroków zostawił; wynajduje pieniądz, zamieszany między mnóstwem podobnych pieniędzy, i t. d. Wprawdzie, może mu w tym razie wzrok być na pomocy; lecz cóż mu dopomaga, gdy wietrzy ślad odległego zwiérza, lub pod ziemią trufle wynajduje? Nie jestże więc to

pytanie słuszne i ważne: czyli z **nosa** albo raczéj węchu tego pożytecznego stworzenia, zrobiono wszelki użytek, jaki się zrobić daje? następujący przykład niechaj nam na to odpowié:

Wiadowo, że lekarze przy wielu wewnętrznych chorobach, a szczególniéj w początku, w niepewności zostają, gdy mianowicie rozstrzygać przychodzi, jakiéj natury choroba, czyli n. p. **żółciowéj** czyli **gorączkowéj**, czyli więc od wymiotów, czyli zaś od puszczenia krwi poczynać należy. Tuto właściwie natura gra w ślepą babkę z témi uczonémi dziećmi. Częstokroć się wydarza, że jeszcze nie wyszli z owéj niepewności, gdy chory już bez ratunku leży, i zbliża się do ostatniego kresu. W takichto nader ważnych przypadkach **psie nosy** byłyby nieocenionych korzyści. Pies, w szpitału przez swój delikatny i nieomylny węch do rozpoznawania chorób dobrze już wprawiony, rozstrzygałby wszelką wątpliwość od razu. I tak n. p. spuściłby ogon, a podniósł przednią nogę, gdyby choroba była żółciowa; lub też podniósłby ogon, a ruszał nogą, gdyby choroba była gorączkową, i tak podobnie w różnych chorobach, przez różne znaki podawałby lekarzowi nieomylną skazówkę, użycia tych lub owych empirycznych środków, uznanych za właściwe do pokonania wskazanego mu rodzaju słabości. Zważmy teraz jeszcze korzyści tego sposobu pod względem moralnym, to jest, pod względem wpływu na umysłowy stan cierpiącego. Chory n. p. postrzegłszy lekarza w towarzystwie wyżłów, gończych lub pudłów wstępującego do izby, z większém zepewne, niż dotąd, powierzałby mu się zaufaniem, w pocieszającém przekonaniu, iż instynkt zwiérząt jest niemylniéjszy, niż słaby rozum człowieka! —

Nawet w aptékach psy wielką mogłby być pomocą — jużby natenczas niepotrzebowano się lękać tych nieszczęśliwych wypadków, które się nieraz przez zamianę lekarstw zdarzają. Użyteczność psiego węchu byłaby tu prawdziwie nie oszacowaną, a któżby mógł wątpić, że pies z równą łatwością dałby się wprawić do rozpoznawania wszelkiego rodzaju gazów i kwasów, jak się wprawia do wynajdywania truflów?..

. . . i.

Marzenia moje.

Usiadłszy pod rozłożystą lipą, powtarzałem następujące słowa:

Biada człowiekowi, o którym powiedzieć można, że jest obcym w domu żony swojéj!

Biada kobiécie, o któréj powiedzieć można, że jest obcą w domu swoich dzieci!

Biada dzieciom, o których powiedzieć można, że są obcémi w domu swoich rodziców, w domn, w którym wychowane były!

Ach! w naszyh czasach, o wielużto mężach, żonach i dzieciach podobnie powiedzieć nie można? — Po tych uwagach umilkłem na chwilę, po czém snuły mi się następujące mysli:

Szczęście domowe, jest najsłodszém szczęściem; dla czegoż o jego nabycie tak rzadko i tak niedbale się starają?

Ludziom naszych czasów, a szczególnie mieszkańcom miast zepsutych, potrzeba innych wcale uciech. Potrzeba im błyszczących zabaw, bogatych pomieszkań, licznéj zgrai uległych służalców, najwyszukańszych pokarmów, pochwał bez liczby; potrzeba im nie tak przyjaciół, jak pochlebców, nie cichych rozkoszy, lecz hucznych rozrywek.

Ów, który nie może naśladować bogacza, wzdycha, jakby już był oddalony od ścieszki szczęścia. Zaślepiony! nie wié, że szczęścia złotem nie nabędzie, i że bez złota łatwiéj dostąpić go można.

Znalazłem go jednak w pomieszkaniu pospolitego człowieka, na łonie rodziny sercem zjednoczonéj; znalazłem go w chatce przyjaciela mego.

Tamto rzekł on do mnie: Wnijdź przyjacielu. usiądź na téj braterskiéj ławie, odpoczniéj pośród nas.

Wszedłem — w małym, przyjemnym domku, ptaszki wyspiewywały, uśmiechały się dzieci; tamto ofiarowała mi przyjaźń najobfitsze posilenie i najsłodsze uciechy.

»Czegoż mam bogaczom zazdrościć?» mówił mi w téj szczęśliwéj chwili. »Ich złota? Przez pracę mam dostatek i obfitość wszystkiego.» —

»Ich wspaniałych uciech? Posiadam uciechy serca.« —

»Ich wyszukanych pokarmów? Alboż więcéj ode mnie apetytu mają?» —

»Ich sukień kosztownych? Obawiająż się mniéj ode mnie odmian powietrza?»

»Ich obrazów, drogo nabytych? Pojrzyj na moje najmłodsze dzieci; patrz, jak się ściskają.» —

»Mamże im zazdrościć ich przywileju rozkazywania licznym sługom? ja ich mam nie wiele, lecz wszyscy mię kochają.»

»Mamże im zazdrościć ich gnusności, w któréj żyją, ich niebezpiecznych rozkoszy? Mam zdrowie i pokój duszy.» —

Prawdę mówiłeś, kochany przyjacielu; ty sam używasz prawdziwego szczęścia. Oby większa liczba twych braci mogła go szukać i znachodzić, idąc w ślady twoje!

. . . i.

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— Ze Lwowa. —

Muzykalna familija p. Kontskiego od kilku już lat znana jest z rzadkich swoich talentów. Będąc w grudniu r. 1827 we Lwowie, dwaj starsi bracia, Karol na skrzypcach, a Antoni na fortepianie, dawali publicznie koncert w król. lwow. teatrze, i byli od publiczności i znawców z nadzwyczajnym zapałem przyjęci, a po skończonym koncercie przywołaniem zaszczyceni.

Familija ta, udawszy się do Rossyi, miała szczęście okazać swoje talenta przed najjaśniéjszą cesarzową Alexandrą Fedorowną dnia 10. lutego 1829 r. w Petersburgu, gdzie amatorowie muzyki, na pamiątkę pobytu téj familii, sporządzić kazali w litografii obraz, wystawiający popisywanie się jéj przed najj. cesarzową; (można go dostać we Lwowie u p. Niemirowskiego). Równie mieli szczęście okazać swe talenta przed najj. cesarzem Mikołajem w Moskwie dnia 8. marca 1830 r. W ciągu trzechletniego pobytu swego w Rossyi, mieli sposobność zrobienia wielkich postępów w swojéj sztuce. Przejeżdzając do Wiédnia przybyli teraz do Lwowa, i zabawiają tu niejaki czas. I zupełniamy wiadomość o téj rodzinie (udzieloną w Nr. 17. Rozm.) następującym wyjątkiem z Dziennika moskiewskiego Nr. 47. z r. 1829, (przetłumaczonym z rossyjskiego języka przez Serafina Tłuchowskiego):

Koncert dany w sali tak zwanéj szlacheckiego zgromadzenia (w Moskwie) przez familiją Kontskich dnia 4go listopada 1829 *r.*

Aby opisać nadzwyczajne talenta téj zadziwiającéj rodziny, należy (jak mówi Diderot) umaczać pióro w różnofarbnych tęczy kolorach, i zasypać złotym pyłkiem ze skrzydełek motyla.

W saméj istocie, jak rzadkie, jak świetne, jak zachwycające są te talenta, tak nie mniéj nader jest przyjemną i powabną tych młodych i miluchnych artystów postać. Biegły w swojéj sztuce rysownik mniéj miał trudności w oddaniu wiernego obrazu muzykalnéj familii Kontskich w znanéj nam, w Petersburgu wyszłéj rycinie, jak autor niniéjszego pisemka, który prócz słów dawno i często powtarzanych, nic więcéj do skreślenia swego obrazu nié miał. Zkądże wziąć zapas nowych wyrazów do opisania tak rzadkich talentów, po tém wszystkiém, co już o grze i spiewie znakomitych wirtuozów dotąd powiedziano? Oto powiémy po prostu, że jedenastoletni fortepianista i czternastoletni skrzypek, Antoni i Karol Kontscy, wzbudzili w licznie zebranéj tego dnia publiczności, a szczególniéj w artystach i amatorach najwyższe zachwycenie.

Piérwszy grał Wielki Koncert Riesa i Rondo świetne Kalkbrennera z nadzwyczajną dokładnością, sztuką i wyrazistością; drugi zaś grał Wielki Koncert Kremona, i przypisane wielkiému Paganiniemu waryjacyje, tak czarującym sposobem, iż sam zdawał się być małym Paganinim. Jeżeli w miarę jego wzrostu będzie wzrastał i talent jego, (o czém wątpić nie należy), to w krótce swiat ujrzy nowe i rzadkie zjawienie (*phenomen*).

Hojnie od natury przyjemnością obdarzona jpa. Eugenija Kontska, spiéwała aryją z początku bojaźliwie, lecz gdy poźniéj nabrała śmiałości, usłyszano alt pełny, czysty i przyjemny z rzadkiém śrebrno-metalicznym dzwiękiem.

Nakoniec ukazał się maluchny, przyjemny jak amorek, z białémi, podobnie jak on, włosami, spadającémi w gęstych kędziorach na plecy, z malenkiémi w rączkach skrzypeczkami, słowem cztéroletni Apolinary.

Na ten zachwycający widok prawie wszystkie damy opuściły swoje miejsca, aby się zbliżyły ku orkiestrze. Amor skrypek z powagę nader miłą, śmiało i silnie grał waryjacyje Lubina z towarzyszeniem orkiestrzy, odznaczając niekiedy takt smyczkiem swoim. Liczne oklaski towarzyszyły zadziwiającéj grze cztéroletniego skrzypka, który jeszcze przeszłego roku w Petersburgu miał zaszczyt grać dwa razy publicznie, a jeden raz przed najj. cesarzową Alexandrą Fedorówną. Kiedyż ón zaczął się uczyć? jak mógł miéć w tym wieku cierpliwość? to nie do pojęcia! Żałować jedynie należy, że tego malutę, ledwie od ziemi odnikłego, nie postawiono na fortepianie tak, jak go przedstawia rycina familijna, lub też na jakiem innem podwyszeniu.

Perski książe Chozrew-Mirza z niektórymi z orszaku swego, książe Dymitryj Władimirowicz Galicyn, książę Mikołaj Borysowicz Jusupow, i licznie zgromadzone damy wyższego stanu, raczyli łaskawie zaszczycić przytomnością swoją rzadki w tém rodzaju koncert. Wysoki i dostojny gość, (książe perski Chozrew-Mirza), lubiąc szczególnie dzieci, rozmawiał i bawił się z młodziuchnymi artystami, których, przy podaniu sobie afisza w perskiém języku, obdarzył 50 dukatami. —

— Z Pragi. —

W Czechosławie (pismie czasowém czeskiém, wychodzacém w Pradze), umieszczono r. 1830 dwie jeszcze powieści Stanisława Jaszowskiego w przekładzie. W zeszycie drugim, powieść: Anna i Stanisław z Kunowéj Oświecimowie; a w zeszycie trzecim powieść: Jaksa z Miechowa, książę Serbii. (Obie powieści te były umieszczone w piśmie naszém.

— *Z Wiednia.* —

Nadzwyczajna burza w niedzielę dnia 24. kwietnia szkaradnie zaburzyła swobodne chwile zabawy i wytchnienia mieszkańców naszéj stolicy, i niegodziwie przyprawiła wszystkich używających przechadzki, acz nikogo bardziéj nad wesołe zgromadzenie pratern. Znajdowało się tam do 40,000 ludzi, w najlepsze swe suknie poprzystrajanych, nagle padła nadspodziana ulewa, raczéj przerwanie chmury, i wprawiła wszystkich przytomnych w największe zamieszanie. Burza ta zdawała się być w zmowie ze wszystkiémi modniarkami, kapelusznikami, krawcami i szewcami całego Wiednia; wyraźnie bowiem zawzięła się na piękny strój niedzielny mieszkańców stolicy. Najmniéj 3,000 kapeluszów damskich stało się pastwą burzy, a czego dészcz nie zniweczył, grad ogromny dokonał. Donosiciel tego widział naocznie czépki, które postrzegłszy, niktby nie był pomyslał, iż przed kilka minutami podziwienie całéj modnéj publiczności wzbudzały. A jak się w sztuce farbierskéj deszcz popisał! Suknie różowe poprzefarbowywał na żółte, białe na popielate, zielone na czarne. Zamieszanie było niesłychane, grzmot huczał, a tłum ludzi mruczał i przeklinał. W krótce zabłysło słoneczko, a ostatnia niedziela kwietnia zdawała się usmiechać, iż udało jéj się dnia 24. tylu ludziom sprawić *prima Aprilis.* (Małe naśladowanie téj sceny udało się i naszéj atmosferze na dniu 2. maja, tylko że była grzeczniejszą, bo miasto damskich kapeluszy i czépków, poprzestała na wytłuczeniu przeszło 3,200 szyb.)

— *Z Niemiec.* —

Król bawarski rozkazał bić nowe talary, na których jednéj stronie jest popiersie jego, na drugiéj Bawaryja spoglądająca na psa u nóg jéj leżącego, i napis: „Wierność Bawarczyków.“ Dzienniki bawarskie jednogłośnie chwalą piękne bicie téj monety. Wartość jéj jest: 2 złr. 24 kr. k. m.

W Hali umarł 20. kwietnia dr. August Lafontaine, urodzony 10. września 1759 w Brunswiku, i od roku 1793 jeden z najulubieńszych autorów niemieckich, którego romanse na wszystkie prawie europiéjskie języki tłumaczone były.

— *Z Francyi.* —

Mody paryzkie.

Najmodniéjsze pierścionki są złote, podług hetruskich wzorów, wziętych z gabinetów starożytności. Na kamieniu wiérzch zdobiącym jest najczęściéj dewiza gockiémi literami wyryta.

Na koniu noszą eleganci pantalony z glancowanéj materyi wełnianéj, zwanéj: *astings.* Najmodniéjszy kolor surdutów jest zielony, kołniérz jest z nie strzyżonego czarnego aksamitu. Dają się także widzieć kamizelki z karmazynowego kaszmiérku, ze złotémi guziczkami.

Wiele szarf z gazy, jedwabiu lub chińskiéj krepy, mają szeroką bordurę, w której rysunki lub tureckie litery kolorowe są wymalowane. Podobne lamówki ze znakami arabskiémi są u chustek od nosa, lub mają w szlakach charaktery i winiety, jakie widzieć się dają w dziełach piętnastego wieku.

Najnowszém, co w państwie mody widzieć się daje, i najbardziéj ściąga podziwienie, są meble z lodu, wynalazku p. Augustin Gillot. Dostał on na nie patent wyłączny na lat pięćdziesiąt. W składzie jego zadziwiają przytomnych wazy, popiersia, lichtarze, umbry, stoły, krzesła, ławki, kałamarze, flaszki i szklanki, utoczone z czystego lodu, i oblane pewnym sztucznym płynem, który ma własność, doprowadzać te utwory w kilku godzinach do stanu zakamienienia, nie odbierając im wszakże piérwotnéj przezroczystości.

Ktoby uwierzył, iż nasi panowie przyjmują zwyczaj palenia tytoniu? Lecz niech kto nie sądzi, iż palą cygary — nie! — palą oni cygaryttę, to jest tytoń tak rzadkiéj własności, iż przytomni radziby wszystek dym wciągnąć w nos, ażeby nasycić się wonią jego.

Między osobami, które za hałasy i tłoczenie okien podczas ostatniego rozruchu w Paryżu uwięzionémi zostały, ma znajdować się także wielu sklarzy.

Nie dawno ukazał się na Boulewardzie w Paryżu ślepy, którego pies prowadził. Złodziej jakowyś miał chrap na zgrabnego psa, i chciał mu go uciąć. W téj chwili ślepy przewidział — i tęgo kijem wyprał złodzieja; ale przybrał wnet nazad rolę ślepego, i żebrał daléj. —

Podług pewnego statystycznego wyrachowania, płace wszystkich publicznych urzędników francuzkich wynoszą 159,915,000 franków.

Ze zdań sprawy *Conseil de salubrité* w Paryżu okazuje się, iż użytek mleka w tém miescie w przeciągu lat nie wiela o cztery razy się powiększył, gdy tym czasem liczba krów i wydatek mleka nawet się nie podwoiła. Wnoszą z tąd, iż trzy części mleka jest fabrykowanego.

Sławny Paganini zaledwie uniknął wielkiego nieszczęścia. Gdy ostatnią razą jechał na koncert, to jest na ten, który dawał ku dobru ludzkości, uderzywszy o stos kamieni przewrócił się z nim kabriolet. Artysta padł bez zmysłów na ziemię, a zbiegły tłum mniemał go nieżywym. „Co się stało?“ wrzeszczeli wszyscy, „Szyja złamana,“ odpowié jeden z przytomnych. „Paganini nieżyje,“ poczęto krzyczéć — lecz w tym artysta przyszedł do siebie, powstaje i rzecze: „Moi panowie szyja moja wprawdzie jest cała, ale szyja skrzypców moich się złamała.“ — Scena ta okropna powszechnym zakończyła się śmiechem.

W wiérszu napisanym we Francyi: „O próżności świata w początku 17go wieku,“ znajduje się następująca apostrofa do Francyi:

Francyjo, twoja niestałość dowodzi,
Że nic stałego nié ma na tym świecie;
W czasie pokoju o wojnę ci chodzi,
Maszli ja — więc znow szemrzesz, że cię wojna gniecie.
Sama radość cię martwi, pożytek cię gniewa.
Sądzisz, że w niepokojach tylkoś jest szczęśliwa,
A wciąż sprzeczne życzenia żądza twa opiewa;
Chyba w tém działasz statecznie:
Że nie stałą jesteś wiecznie! —

— *Z Anglii.* —

Most wiszący koło Bringthon w Anglii urwał się dnia 13. kwietnia, właśnie gdy kompanija żołniérzy przezeń przechodziła, na jednym końcu. Prawie 40 ludzi zostało uszkodzonymi, acz żaden nie utonął, gdyż rzeka jak na szczęście bardzo płytka była.

Niejaki Robert Hicks nader ważne zrobił odkrycie, które naszemu sposobowi pędzenia wódki może zadać cios ostateczny. To jest, odkrył sposób dobywania alkoholu z kwasnego ciasta. Wynalazca umyślnie ktemu urządził sobie bardzo rozważnie sztuczny piec. Alkohol tym sposobem dobyty ma wedle świadectwa tych, którzy go kosztowali, być bardzo mocnym, czystym i przyjemnym.

Lord Chesterfield nie dawno sprzedał za 3,000 gwinejów konia, który za najlepszego uganiacza w gonitwie uchodzi, i przeszłemu panu swemu przez wygrane zakłady 10,000 funtów szterlingów (100,000 złr. k. m.) przyniósł korzyści.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.